

DOROTA SUWALSKA



PIEGOWATE *niebo*



NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014
Text © copyright by Dorota Suwalska, 2014
Projekt okładki *Agata Raczyńska*

*Darkowi – za pewien odlotowy (dosłownie i w przenośni)
pomysł oraz Iwonie – za wszystkie „bocianie” spotkania
w „naszej” kawiarni*

część pierwsza

M A J



Rozdział 1

Serce na śmietniku

Ciekawa jestem, na co patrzycie podczas rodzinnych posiłków. Ja widzę wysypisko śmieci. I nie mam na myśli tego, że okno naszej kuchni wychodzi na śmietnik. Prawdę mówiąc, widać przez nie betoniarkę. Nawet nie chodzi o to, że w domu panuje bałagan. No owszem, da się zauważyć pewien nieład, ale bez przesady. Na pewno nie większy niż u Anki.

Rzecz w tym, że siedzę przy stole dokładnie naprzeciw lodówki.

„Co z tego?” – spytacie.

Otóż bardzo dużo! Bo drzwi naszej lodówki zdobi kolekcja zdjęć przedstawiających śmietniska: sterta odpadków na leśnej polance, wysypisko w wąwozie, śmieci w sosnowym zagajniku itp., itd. A wszystko to przymocowane kolorowymi magnesikami w kształcie serduszek.

Prawdę mówiąc, obok zdjęć wysypisk na lodówce wisi również kilka bohomazów autorstwa mojej młodszej siostry, zwanej pieszczotliwie Nisią. Jeden z nich przedstawia naszą rodzinę. Biała kartka, a na niej parę dziwnych postaci o wielkich głowach. Najwięcej miejsca zajmuje mama. Wypełnia prawie całą kartkę. Trochę to dziwne, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że jest chyba najniższą, a w każdym razie



najchudszą ze wszystkich znanych mi mam. Nieopodal, trochę jakby nad ziemią (moja siostrunia pięknie wymalowała łączkę, na której stoimy, aż dziw, że nie umieściła nas na wysypisku), lewituje mój tata, dużo mniejszy od mamy, ale za to nadzwyczaj kolorowy. Obok taty, bliźnięta, roześmiana Nisia. Ja już się na rysunku nie zmieściłam, w każdym razie nie w całości. Kawalek ręki wystaje mi poza kartkę. To znaczy – wystawałby, gdyby ktoś dorysował tę rękę na lodówce, ale oczywiście nikt się o taki drobiazg nie zatroszczył.

Można powiedzieć, że ta osobliwa nalodówkowa galeria – zwłaszcza zdjęcia wysypisk – stanowi doskonałą metaforę mojego ze wszech miar niedoskonałego losu. Bo całe moje życie jest śmietnikiem. Śmietnikiem marzeń, planów, aspiracji...

Tamtego pamiętnego wieczoru jak zwykle siedziałam naprzeciwko wysypiska, to znaczy *vis-à-vis* lodówki, i nie przeczując niczego złego, próbowałam ocalić z życiowego śmietnika choć jedno marzenie.

– Kupmy wreszcie psa – zagaiłam. – Może być owczarek belgijski. Marta ma owczarka i chodzi z nim na szkolenie.

– Jutro zaczynamy nowy program... – odpowiedział na to tata, ale nikt się tym nie przejął. Nawet Nisia. A tym bardziej ja. Skąd mogłam wiedzieć, że tych kilka słów stanowi zapowiedź mojej kolejnej życiowej katastrofy?

– Psa? – mruknęła mama, smażąc jajecznicę. – Najpierw trzeba zrobić testy, a nuż macie alergię.



– To niech będą kurczaczki, jak u sąsiada! – zawołała Nisia.

– Wykluczone! Żadnego drobiu! – zaprotestowałam. Jeszcze tego brakowało, żeby jakieś kury płątały się po podwórku. Wtedy to już na pewno mama nie zgodzi się na psa – oczywiście w trosce o zdrowie i życie „biednych ptaszków”.

– Skoro chcecie zwierzątko, czemu nie założycie akwarium, jak ja? – spytała mama.

– O fuj! Nie mogę patrzeć na twoją Ślicznotę. – Nisia skrzywiła się z niechęcią.

O Ślicznocie napiszę innym razem, żeby nie mieszać wątków. Wyjątkowo muszę się zgodzić z siostrą – faktycznie jest paskudna. Ale mama ją uwielbia.

– Można przecież hodować rybki – rzuciła mama, sięgając po sztucce.

– Jutro zaczynamy nowy program... – wtrącił tata.

– Rybek nie nauczysz sztuczek, nie pogłaszczesz – powiedziałam. To święta prawda. Widział kto rybę aportującą kijek? Nawet Ślicznota się do tego nie nadaje.

– Znowu! – zdenerwowała się mama i podniosła z podłogi kawałek sucharka. – Jeszcze raz znajdę jedzenie na podłodze, to... to... Nic dziwnego, że potem pełno tu myszy.

– Wcale nie pełno. Tylko jedna – odezwała się niepewnie Nisia.

– Ale mysich bobków tyle, jakby mieszkało tu ich całe stado. Jeszcze będzie z tego jakieś choróbsko!

Mama starannie umyła ręce i usiadła z nami do stołu.



– A ty co tam robisz?! – Spojrzała na mnie groźnie. – No nie! Zostaw tego netbooka. Jemy kolację!

Z westchnieniem odłożyłam swój elektroniczny pamiętnik i zaczęłam rozgrzebywać widelcem jajecznicę.

– Jutro zaczynamy nowy program... – nie dawał za wygraną tata.

– Kochanie, nie mów przy jedzeniu o pracy, bo się nabawisz wrzodów dwunastnicy – zatroskała się mama.

– Znow będziesz kamerował śmieci, tatusiu? – spytała uprzejmie Nisia.

– Akcja „Dokumentacja nielegalnych wysypisk” zakończona – pochwalił się tata.

Teraz już chyba rozumiecie, skąd wzięły się wątpliwe ozdoby na naszej lodówce. To owoc kilkumiesięcznych wysiłków mojego ojczulka. Tata jest biologiem. W dodatku biologiem zatrudnionym w Wydziale Ochrony Środowiska miejscowego Urzędu Gminy. A do tego wszystkiego – zapalonym fotografem.

– Od jutra zaczynamy spis gniazd bocianich – dodał z dumą.

– Będziesz robił zdjęcia ptaszkom? – ucieszyła się Nisia.

– Tatus jest zdolny! – Mama pogłaskała go po głowie.

– Hurra!!! – Nisia zeskoczyła z krzesła i zaczęła krążyć po kuchni, rozkładając ręce niczym skrzydła.

– Do gazety? – upewniłam się ostrożnie. Nie żeby mnie to jakoś okropnie interesowało, ale dobrze wiedzieć takie rzeczy.



– Tu chodzi o badania naukowe, ale... Niewykluczone, że najlepsze zdjęcia ukażą się w „Wiadomościach z Regionu” – pochwalił się tata.

– Jak te ze śmiećmi? – dopytywała się Nisia, „fruwając” wokół stołu.

– Śmiećmi – poprawiła ją mama.

– Ojciec Marty pisze w ogólnopolskim dzienniku. – Wzruszyłam ramionami, bo publikacja w „Wiadomościach z Regionu” nie jest według mnie jakimś nadzwyczajnym osiągnięciem.

Potem mama dość długo przekonywała Nisię, żeby „wyładowała” przy stole, a mnie – żebym zjadła jajecznicę. Czyli wszystko toczyło się zwykłym trybem i nie sposób było przebić się z psim tematem. Zwłaszcza że po odbyciu obowiązkowego rytuału pod nazwą „rodzinna kolacja” jak zwykle wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Ojczulek zamknął się w Tatowym Azylu. Nisia... W sumie nie wiem, co robiła, i mało mnie to obchodziło. A mama, która ma obsesję na punkcie zdrowego trybu życia, wybrała się na przechadzkę. Dogoniłam ją tuż za furtką.

– Mamo! Zaczekaj!

– Tak?

– No widzisz, gdybyśmy miały psa, mogłabym wychodzić z nim na spacer. – Znowu spróbowałam wrócić do tematu. Nie myślcie sobie, że tak łatwo rezygnuję z marzeń.

– Przecież spacerujesz.

– Przy mojej tuszy...



– No, nie przesadzaj, bardzo cię proszę! – odpowiedziała mama z irytacją.

– Poza tym... Te głupki z mojej klasy... Prawie wszyscy mają psy, więc... Nie żeby mi zależało, ale... – Zamilkłam, szukając argumentów. – Mamo, co mam zrobić, żebyś się zgodziła?

– Jeśli będziesz chodzić na psie spacerować z tymi, jak ich nazywasz, głupkami z klasy, to może się zastanowię. – Mama uśmiechnęła się łobuzersko.

– To szantaż!

– Inka, przecież wiem, jak jest. Obserwuję cię w szkole. Spróbuj się jakoś zintegrować.

– O rany! Nie ma to jak mama belfrzyca. I przede wszystkim nie mów do mnie jak do dziecka!

– To jak mam mówić?

– Normalnie. Po imieniu.

– Alina?

– Tylko nie to!

– Przecież tak masz na imię.

– A to już nie moja wina... – zaczęłam i ugryzłam się w język (oczywiście w przenośni). Nie chciałam, żeby głupi (i toczący się od lat) spór na temat tego, jak właściwie należy się do mnie zwracać, zepsuł dobrze zapowiadającą się rozmowę.

Rozdział 2

Słowniczek trudniejszych terminów

Niestety musiałam przerwać pisanie w najmniej odpowiednim momencie, bo do pokoju wtargnęła mama i oznajmiła, że pora spać. A z nią nie warto dyskutować o tych sprawach. Dziś miałam zamiar dokończyć porzucony wątek, ale po przeczytaniu wczorajszych wypocin doszłam do wniosku, że najpierw muszę wyjaśnić parę kwestii. A to na wypadek gdyby kiedyś w przyszłości, gdy już będę sławną pisarką, Potomni odkryli ten plik, i żeby mogli załapać, kto jest kim, co jest czym i ogólnie biorąc, o co w tym wszystkim chodzi.

Zacznę od tego, kim jest Anka. No wiecie, ta, która ma w domu większy bałagan. A to bardzo ważne, bo to moja najlepsza przyjaciółka. Od pierwszej klasy siedziałyśmy w jednej ławce, ale teraz to już niestety nieaktualne, bo moi rodzice wpadli na genialny pomysł, żeby się przeprowadzić. I teraz mieszkam w domu na wsi i chodzę do zupełnie innej szkoły. Co prawda ta wieś jest niby o rzut beretem od miasta. Tak przynajmniej twierdzi tata. Ale rzucać tym beretem musiałby chyba jakiś supermistrz świata w tej dyscyplinie, a i to niewiele by pomogło. Nie będę się jednak w tej chwili rozpisywać na ten temat, bo naprodukuje kolejnych wątków i całkiem namieszam.



Co dalej? Marta. O Marcie nie będę pisać, bo to kretynka.

Przejdę od razu do tematu Tatowego Azylu. Na pewno nikt z Potomnych nie ma czegoś takiego w swoim domu. Ja – owszem. Otóż Tatowy Azyl to piwniczka przerobiona na... czy ja wiem... taką jakby pracownię fotograficzno-komputerową. Pełno tam szufladek, szafek i półek z segregatorami na (zeskanowane lub nie) slajdy i negatywy. Jest również biblioteczka z książkami o ptakach. I oczywiście komputer, drukarka, no i oczko w głowie taty, czyli superspecjalistyczny skaner.

Ojczulek chowa się w Tatowym Azylu przed „chaosem świata” (tak mówi o tym mama) i „realizuje swoją pasję”. Polega ona na skanowaniu, dygitalizowaniu, porządkowaniu, katalogowaniu, szufladkowaniu, segregowaniu, ewidencjonowaniu, klasyfikowaniu i opisywaniu rozmaitych fotek robionych przez niego w czasach, w których nie było jeszcze aparatów cyfrowych. Strasznie dużo z tym roboty. Większość z poddawanych tym skomplikowanym zabiegom zdjęć przedstawia ptaki, niektóre (dla odmiany) ptasie jaja albo (cóż za urozmaicenie!) ptasie gniazda. Jest również parę portretów ojczulka na tle jakiegoś niezwykle wartościowego pod względem przyrodniczo-krajobrazowym ekosystemu. Na wszystkich tata występuje w superspecjalistycznym maskującym ubraniu, uzbrojony w lornetkę lub aparat fotograficzny zakończony gigantycznym teleobiektywem. Minę ma taką, jakby wybierał się polować co najmniej na lwy.



W pracowni panuje idealny wręcz porządek, co mocno kontrastuje z innymi częściami domu. To mama nazwała kiedyś piwniczkę Tatowym Azylem i tak już zostało. Nisia, która właśnie uczy się pisać, przyczepiła na drzwiach tekturową tabliczkę z napisem „Tatiowy asyl”, ozdobioną wizerunkiem jakiegoś fantastycznego ptaka, przypominającego nieco feniksa, który nie zdążył jeszcze w pełni odrodzić się z popiołów.

Uff... Pozostała już tylko kwestia wyjaśnienia zawiłości związanych z moim imieniem i mogę ruszać z akcją.

Tak naprawdę mam na imię Alina. Niestety! Alina Witkowska. Ale nie cierpię swojego imienia. Alina – Alinka – Inka. Teraz już wiecie, skąd się wzięło zdrobnienie, którego również nienawidzę. Najbardziej lubię, gdy mówi się do mnie Alicja. Podobne do Aliny, a o ile lepiej brzmi. W ostateczności może być Ala.

No niestety, znów muszę przerwać, bo wołają mnie na obiad. Ale chyba z grubsza ogarnęłam niewyjaśnione tematy i będę mogła przejść do głównego wątku opowieści, czyli strasznego życiowego rozczarowania, które wstrząsnęło moją psychiką.

PS Właściwie to wyszedł mi taki jakby półrozdział, bo strasznie krótki ten wpis, więc może powinnam go nazwać „Rozdział 1 i pół”. No ale trudno. Nie będę komplikować.

Rozdział 3

Hodowcy drobiu

Miałam dwa dni przerwy w pisaniu, ponieważ Batmanica (nasza polonistka, w sumie nie wiem, czemu tak na nią mówią) skonfiskowała mi netbooka.

Jestem doprawdy wzruszona matematyczną pasją Aliny, jednak na lekcji języka polskiego powinna skupić się na romantyzmie, który właśnie omawiamy.

(wpis Batmanicy do mojego dzienniczka)

Najzabawniejsze jest to, że nienawidzę matmy (nawiasem mówiąc, nasza matematyka ma ksywkę Klątwa). A całe nieporozumienie wzięło się stąd, że mieszkam w jednym pokoju z młodszą siostrą. Wiem, trochę to skomplikowane, ale chwila cierpliwości i wszystko zrozumiecie. Otóż chodzi o to, że chcę zabezpieczyć swoją twórczość przed tak zwanymi niepowołanymi czytelnikami. Potomni, proszę bardzo, niech sobie czytają. Ale nigdy, przenigdy nie zgodzę się na to, żeby do moich wypocin dorwali się rodzice lub siostra. A wiercie mi, nie ma takiej opcji, żeby ukryć coś w pokoju, w którym mieszka Nisia. Wiem, bo próbowałam. Mogłam wymyślić najbardziej pomysłówą kryjówkę, a ona i tak wy-



grzebała ukryty przed światem zeszyt. Z tym że kiedyś nie było to aż tak groźne, bo nie umiała jeszcze czytać. Nie liczę oczywiście momentów, w których bywało niebezpiecznie – gdy ze swoim znaleziskiem leciała do taty. Na szczęście tata nie za bardzo interesuje się literaturą, która nie dotyczy ornitologii.

Tak wścibskiej istoty jak Nisia ziemia polska jeszcze nie nosiła. Jest na nią tylko jedna metoda: skitracć tekst w kompie. Najlepiej w katalogu o jakiejś nudno brzmiącej nazwie. Ja na przykład utworzyłam folder „Matma”. A w nim – podkatalog o jeszcze nudniejszym tytule: „Test matematyczny – przygotowania”. A tam z kolei podpodkatalog: „Zadania z matematyki”. I w tym podpodkatalogu właśnie piszę. A plik nie nazywa się „Dziennik”, „Pamiętnik” ani nic w tym stylu – dla zmyłki nazwałam go „Równania z dwiema niewiadomymi”. Teraz już chyba wszystko rozumiecie. Po prostu chciałam trochę podgonić pisanie na polskim, bo przecież między lekcją polskiego a twórczością literacką istnieją jednak pewne powiązania, ale, pechowo, Batmanica zauważyła, że chowam pod ławką netbooka (na szczęście zdążyłam zamknąć plik). Jednak nie da się ukryć, że gdyby skonfiskowała mi zeszyt, mogłoby się nie skończyć na uwadze w dzienniczku, więc w sumie i tak polecam tę metodę.

Swoją drogą niełatwo było przekonać rodziców do kupna netbooka. Długo musiałam im tłumaczyć, że to niezbędne, abym mogła rozwijać swój potencjał. Wciąż pytali, czy nie mogę, przynajmniej dopóki nie zakończy się remont naszej



nowo zakupionej posiadłości, rozwijać potencjału w zeszycie, zwłaszcza że w domu mamy już dwa komputery. Nie mogłam przecież zdradzić, że chodzi głównie o to, żeby rozwijać ten potencjał z dala od wścibskich niepowołanych czytelników. Musiałam więc wymyślić mnóstwo superprzekonujących argumentów. Nie pamiętam ich już dokładnie, ale chodziło głównie o to, że skoro już mnie wywieźli na tę cholerną wieś, to niech mi przynajmniej jakoś ten fakt osłodzą. Tata ma swój skaner do slajdów, więc ja mogę mieć własnego kompa.

W końcu udało się ich namówić i zaczęłam pisać powieść młodzieżową pod tytułem *Piegowate niebo*, bo sama mam piegi (choć mało widoczne), a rozgwieżdżone niebo to jakby nieskończenie wielki piegowaty policzek, tyle że w negatywie. Dlatego pomyślałam sobie, że wszystkim, którzy nabijają się z moich piegów, zrobi się strasznie głupio, gdy przeczytają tę książkę – kiedyś, w przyszłości, gdy zostanie już międzynarodowym bestsellerem, i wreszcie zrozumieją, że tak naprawdę śmiali się z kosmicznych piegów, czyli gwiazd na niebie, bo ja wtedy też będę już gwiazdą literatury.

Ale z uwagi na ostatnie wydarzenia musiałam zająć się opisywaniem najbardziej palących problemów i *Piegowate niebo* (po drobnych przeróbkach) zmieniło się w coś w rodzaju pamiętnika osnutego wokół całkiem nowego, dramatycznego wątku, który zdominował moje życie.

A wszystko zaczęło się całkiem niewinnie. Zaraz po zacytowanej przeze mnie w pierwszym rozdziale rozmowie tata



zapropował, żebyśmy pojechały z nim do pracy. To znaczy spisywać te gniazda bocianie. Nasza klasa (a także klasa Nisi) wybierała się tego dnia do kina, ale ojczulek uznał, że obcowanie z naturą będzie dla nas bardziej pouczające niż oglądanie dzieł kinematografii. Nisia była zachwycona tym pomysłem. Moja młodsza siostra jest zapatrzona w swojego tatusia jak w obrazek. A konkretnie to w zdjęcie taty z lornetką, które powiesiła nad swoim biurkiem, bo w przyszłości też zamierza zostać przyrodniczką. Natomiast ja odmówiłam, co okazało się błędem. Nie dość, że film był denny, to na dodatek zaprzepściłam szansę zapobieżenia katastrofie.

Tamtego dnia wróciłam ze szkoły, a właściwie z kina, w kiepskim nastroju i zasiadłam do pisania kolejnego rozdziału *Piegowatego nieba*. Główna bohaterka, Alicja, wspomina w nim przyjaciół ze swojej dawnej klasy, którą musiała opuścić, bo rodzice przepisali ją do nowej szkoły, do której chodzą sami kretyni.

Z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam, że tata z Nisią spisują ptasie gniazda. Zresztą z jakiej racji miałabym zaprzętać sobie tym głowę?! Aż tu nagle usłyszałam jakieś hałasy na podwórku i przez okno zobaczyłam, że na podjazd wjeżdża gminny dostawczak.

Trochę mnie to zdziwiło. Mamę chyba też. Dlatego obie wyszłyśmy przed dom.

Z samochodu wyskoczyła Nisia i w jakimś chorobliwym opętaniu zaczęła tańczyć i wykrzykiwać:

– Niespodzianka! Niespodzianka! Niespodzianka!



– Jaka niespodzianka? – spytałam ostrożnie, bo entuzjazm mojej siostry zwykle nic dobrego nie wróży.

– No, przecież chciałyście zwierzątko! – zawołał roześmiany tata, wychylając się z samochodu. – Mówisz, masz!

Dosłownie mnie zatkało.

– Mamo... – wydukałam. – Mówiłaś już tacie? Bo... przecież... – Z wrażenia nie byłam w stanie dokończyć zdania.

Tu znów muszę wrócić do pierwszego rozdziału (a konkretnie do spaceru z mamą), bo najważniejsze wydarzyło się w chwili, która nie została opisana (z powodu interwencji mojej rodzicielki). Tak to zresztą często bywa. Wiem coś o tym z uwagi na swoje długotrwałe doświadczenie dzienniko- i pamiętnikopisarskie. Dziwnym trafem najistotniejsze sprawy pozostają zawsze poza tekstem.

Otóż tamtego wieczora udało mi się, nie uwierzycie...
NAMÓWIĆ MAMĘ NA PSA!!!

Wyjaśniłam jej między innymi, że mając czworonoga, mogłabym lepiej się zintegrować ze społecznością lokalną, to znaczy z moją klasą, a mama ma na tym punkcie fioła.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Może to nie najgorszy pomysł. Pozostaje uzgodnić pewne zasady... Ale, proszę, nie w tym tygodniu, bo mam urwanie głowy.

Siłą woli powstrzymałam się od poruszania tematu „w tym tygodniu”, choć wszystko się we mnie aż gotowało. Wiem jednak, że nadmierna upierdliwość budzi w mamie ducha przekory, a bardzo mi zależało, by ów niebezpiecz-



ny duszek pozostał w uśpieniu aż do chwili, w której będzie za późno na odwołanie wymęczonej przeze mnie decyzji. Rzecz w tym, że całe swoje dzieciństwo i młodość (w którą właśnie z bólem wkroczyłam) marzyłam o psie. Ale że wcześniej mieszkaliśmy w bloku, mama argumentowała, że pies będzie się męczył. Choć mnóstwo naszych sąsiadów miało psy, które wcale nie wyglądały na zmęczone. Liczyłam więc, że po przeprowadzce na wieś wreszcie spełni się moje marzenie. To była moja jedyna pociecha (nie licząc netbooka) w tych dramatycznych okolicznościach. Okazało się jednak, że podczas budowy i remontu psy również się męczą. Postanowiłam więc poczekać na finał prac budowlanych. Wkrótce jednak zrozumiałam, że remont ma tę niezwykłą właściwość, że najprawdopodobniej nigdy się nie kończy, i prawie straciłam nadzieję. A tu proszę bardzo – taka niespodzianka!

Za tatą z samochodu wyskoczył pan Władzio, który w Urzędzie Gminy pełnił funkcję „złotej rączki”. Prawdę mówiąc, to powinno dać mi do myślenia. Byłam jednak zbyt podekscytowana, by zwracać uwagę na takie drobiazgi.

– Tam. Na polet... to znaczy na tę ogrodzoną część! – zawołał do niego tata.

Nasz ogród wygląda jak plac budowy (to dlatego przez kuchenne okno widzę betoniarkę, o czym wspominałam w rozdziale pierwszym). Tylko ogrodzona część, zwana w rodzinie „poletkiem”, jest zadbana i porośnięta trawą.



Pan Władzio z tatą podeszli do tylnych drzwi samochodu i ostrożnie je uchylili.

„No, no... – pomyślałam sobie. – Pies musi być całkiem spory. Może to owczarek belgijski?!”

Owładnęło mną jakieś dziwne uczucie. Radość, niedowierzanie, ekscytacja i jeszcze coś, czego nawet nie umiem określić. Zupełnie jakbym nie mogła zmieścić się w samej sobie. Jakbym za chwilę miała wyskoczyć z siebie i stanąć obok.

Tymczasem tata z panem Władziem otworzyli drzwi i wynieśli z samochodu... tekturowe pudło pełne dziurek. Trochę mnie to zdziwiło, ale wciąż nie miałam żadnych złych przeczuc. Gdy pudło znalazło się już na trawniku, tata otworzył je i z kartonu wyłonił się... Kto? Nigdy nie zgadniecicie. BOCIAN!!!

Totalnie mnie zamurowało!

Bocian miał coś dziwnego na skrzydle, ale w tamtej chwili nie zwróciłam na to uwagi. Kompletnie nie mogłam pozbierać myśli, a tym bardziej przewidzieć konsekwencji jego obecności w naszym ogrodzie. Ale mama nie miała żadnych problemów z kojarzeniem. Najwyraźniej jej umysł w ekstremalnych okolicznościach osiąga pełnię swoich możliwości.

– No tak – powiedziała, a po głosie można się było zorientować, że jest wkurzona. – Teraz to już po ptakach, znaczy... po psie. Sama rozumiesz – zwróciła się do mnie – w tej sytuacji o psie nie ma mowy. Piękną ci tatuś zrobił niespodziankę!



Próbowałam się odezwać, ale żadne słowa nie chciały się wydobyć z mojego gardła. Jakby ktoś zawiązał mi krtań na supełek. Stałam przed domem jak idiotka i bezgłośnie otwierałam i zamykałam usta. Przynajmniej tak zrelacjonowała to potem Nisia.

Na domiar złego w nasz rodzinny dramat wmieszał się sąsiad, najwyraźniej zupełnie nieświadomy grozy sytuacji. Inna rzecz, że tata i Nisia też nie zdawali sobie z niej sprawy.

– No, drogi sąsiedzie! – zawołał wesoło pan Jurek. – Widzę, że obaj zostaliśmy hodowcami drobiu.

Popatrzyłam na wędrujące za jego plecami rachityczne koguciki (pan Jurek hoduje ozdobne kurki miniaturki) i poczułam, że zaraz się poryczę. A ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę, było publiczne okazanie słabości.

Gwałtownie zamrugałam oczami, żeby powstrzymać łzy, które niczym dwa wodospady napierały na moje powieki, i pognałam do domu.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy

tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa

tel. 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl



Książkę wydrukowano na papierze

Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,4.

PaperlinX

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*

Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*

Redakcja *Magdalena Majewska*

Korekta *Katarzyna Wasyliak, Anna Sidorek, Magdalena Szroeder*

Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12535-4

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań